



**GEORGE  
ORWELL**

**W hołdzie  
Katalonii**



**GEORGE  
ORWELL**

**W hołdzie  
Katalonii**

Przekład  
Marcin Barski

**vis-à-vis**  
*etuda*

**Kraków 2022**

Tytuł oryginalu: *Homage to Catalonia*

## ROZDZIAŁ 1

*Nie odpowiadaj głupiemu według jego głupoty, abys i ty nie był do niego podobny.*

*Odpowiedz głupiemu według jego głupoty, aby nie był mądry we własnych oczach.*

(Księga Przysłów, 26:4-5)

Dzień przed tym, jak dołączyłem do milicji, w Koszarach Lenina w Barcelonie zobaczyłem włoskiego bojownika stojącego przed oficerskim stołem.

Był to młodzieniec dwudziestopięcio-, może dwudziestosześcioletni, o twardym wyglądzie, rudawych włosach i potężnych ramionach. Jego skórzana czapka z daszkiem zsunięta była na jedno oko, co sprawiało wrażenie sporej nieustępliwości. Stał zwrócony do mnie profilem, z brodą opuszczoną na pierś, marszcząc brwi, wpatrywał się w mapę, którą jeden z oficerów rozpostarł na stole.

Coś w jego twarzy głęboko mnie poruszyło. Była to twarz człowieka gotowego zarówno popełnić morderstwo, jak i oddać życie za przyjaciela – typ oblicza, jakiego można by się spodziewać u anarchisty; ten człowiek tutaj najpewniej był jednak komunistą. Na jego twarzy malowały się szczerłość i wściekłość, a także ów żaloszny rodzaj ślepego podziwu, jaki analfabeci żywią wobec swoich rzekomych przełożonych. W oczywisty sposób nie był on w stanie niczego zrozumieć z mapy, czytanie

mapy wyraźnie stanowiło dla niego zbyt wielki intelektualny wysiłek. Nie mam pojęcia dlaczego, ale natychmiast poczułem wobec niego ogromną sympatię, co naprawdę rzadko mi się zdarza. W trakcie rozmowy ktoś przy stole zwrócił uwagę, iż jestem obcokrajowcem. Włoch podniósł głowę i zapytał szybko:

– Italiano?

– No, Inglés. Y tú? – odpowiedziałem moim słabym hiszpańskim.

– Italiano.

Gdy wyszliśmy, przeszedł przez pokój i mocno uściśnął mi dłoń. Zdumiała mnie taka serdeczność ze strony obcego mężczyzny. Zdawało się, że jego i mój duch w jednej chwili zasypały przepaść języka i tradycji i wytworzyły między sobą intensywną zażyłość. Miałem nadzieję, że polubił mnie równie mocno jak ja jego. Wiedziałem przy tym, że aby utrzymać w sobie to wrażenie, nie będę mógł już nigdy więcej go spotkać – i rzeczywiście, nigdy więcej się nie widzieliśmy. W Hiszpanii cały czas zdarzały się tego rodzaju spotkania.

Wspominam owego włoskiego milicjanta, ponieważ szczególnie mocno utkwil mi w pamięci. Jego postrzępiony mundur i dzika, poruszająca twarz są dla mnie uosobieniem wyjątkowej atmosfery tamtego czasu. Młodzieniec ten wiąże się ze wszystkimi moimi wspomnieniami z tamtego okresu wojny: czerwonymi flagami w Barcelonie, ponurymi pociągami, pełnymi zmizerowanych żołnierzy, wlokącymi się na front, z szarymi, zniszczonymi wojną miasteczkami, przez które front już przeszedł, z błotnistymi i lodowatymi okopami w górach.

Było to pod koniec grudnia 1936 roku, a więc niecałe siedem miesięcy temu, a jednak mam wrażenie, że okres ten należy do zamierzchłej przeszłości. Późniejsze wydarzenia przesłoniły go o wiele bardziej niż rok 1935 czy też na przykład 1905. Przybyłem do Hiszpanii z zamiarem pisania artykułów prasowych, jednak niemal od razu dołączyłem do milicji, ponieważ w tamtej chwili i w tamtej atmosferze jakakolwiek inna postawa była nie do pomyślenia. Anarchiści wciąż posiadali pełną kontrolę nad Katalonią, a rewolucja była w pełnym rozkwicie. Dla kogoś, kto przebywał tam od początku, zapewne już w grudniu lub styczniu wydawało się, że rewolucja ma się ku końcowi, jednak dla kogoś, kto dopiero co przybył z Anglii, wygląd Barcelony był czymś zaskakującym i przytłaczającym. Pierwszy raz znalazłem się w mieście, w którym klasa robotnicza była u władzy. Praktycznie wszystkie budynki, bez względu na wielkość, były zajęte przez robotników i przyozdobione czerwonymi lub czerwono-czarnymi flagami anarchistów; na każdej ścianie nabazgrane były sierp, młot i inicjały partii rewolucyjnych; niemal każdy kościół był wybebeszony, a znajdujące się w nim obrazy – spalone. Tu i ówdzie kościoły były systematycznie demolowane przez bandy robotników. Każdy sklep i każda kawiarnia nosiły na sobie napis, że miejsce to zostało skolektywizowane; dotyczyło to nawet pucybutów, których skrzynki pomalowano na czerwono i czarno. Kelnerzy i sprzedawcy patrzyli wszystkim w oczy i każdego traktowali jak równego. Służalcze i nieraz ceremonialne formy tymczasowo znikły. Nikt do nikogo nie zwracał się per Señor, Don ani nawet Usted, wszyscy

mówili do siebie per Towarzyszu lub po prostu per ty. Zamiast „Buenos dias” witano się prostym „Salud!”. Napiwki zostały zakazane prawem, jednym z moich pierwszych doświadczeń było napomnienie, którego udzielił mi dyrektor hotelu po tym, gdy chciałem wręczyć napiwek windziarzowi. Nie było prywatnych samochodów, wszystkie zarekwirovano, tramwaje, taksówki i większość transportu publicznego przemalowano na czarno i czerwono. Wszędzie wisiały rewolucyjne plakaty, ich wyraźna i czysta, czerwono-niebieska kolorystyka sprawiała, że ostatnie pozostałe na murach afisze reklamowe wyglądały jak plamy błota. Na Ramblas, szerokiej centralnej arterii miasta, po której tłumy ludzi bezustannie spacerowały wte i wewte, głośniki przez cały dzień i do późnej nocy nadawały pieśni rewolucyjne. A najdziwniejszy z tego wszystkiego był wygląd owych tłumów. Na pierwszy rzut oka było to miasto, w którym klasa ludzi majątnych kompletnie przestała istnieć. Oprócz niewielkiej liczby kobiet i obcokrajowców w ogóle nie widywało się osób „dobrze ubranych”. Praktycznie wszyscy nosili proste robotnicze ubrania, niebieskie kombinezony lub różne odmiany milicyjnych mundurów. Wszystko to było dziwne i poruszające. Wiele w tym było aspektów, których nie rozumiałem, nie wszystko też mi się podobało, szybko jednak pojąłem, że o taki stan rzeczy warto walczyć. Ja także uwierzyłem, że było tak, jak się wydawało: że było to Państwo robotników, z którego cała burżuazja uciekła, została zabita lub dobrowolnie przeszła na stronę klasy pracującej. Nie zdawałem sobie sprawy, że znaczna liczba zamożnych burżujów przyczaiła się wówczas w przebraniach proletariuszy.



Do tego wszystkiego dochodziła jeszcze złowieszcza atmosfera wojny. Miasto miało wygląd ponury i niechlujny, drogi i budynki były w złym stanie, ulice nocą oświetlone były słabo z obawy przed nalotami, sklepy stały niemal puste. Mięso było rzadkością, mleka praktycznie nie dało się nabyć, brakowało węgla, cukru i benzyny, najbardziej doskwierał jednak brak chleba. Nawet wówczas kolejki po chleb miały długość setek metrów, mimo to zdawało się, że ludzie są zadowoleni i pełni nadziei. Bezrobocie zostało wyeliminowane, a koszty życia były wciąż bardzo niskie; ludzi w głębokiej nędzy nie widywało się wielu, prócz Cyganów nikt nie żebrał na ulicach. Przede wszystkim panowała wiara w rewolucję i w przyszłość, dominowało przekonanie, że miasto wkroczyło w erę wolności i równości. Ludzie starali zachowywać się jak ludzie, a nie jak tryby kapitalistycznej maszyny. W zakładach fryzjerskich wisiały anarchistyczne komunikaty (fryzjerzy byli w większości anarchistami), uroczyście ogłaszające, że fryzjerzy odtąd nie są już niewolnikami. Kolorowe plakaty na ulicach wzywały prostytutki do porzucenia pracy w charakterze prostytutek. Dla każdego przybysza z cynicznej i bezwzględnej cywilizacji anglojęzycznej dosłowność, z jaką owi hiszpańscy idealisci przyjmowali wszelkie szablonowe hasła rewolucji, wydawała się cokolwiek przesycona patosem. W tamtym czasie rewolucyjne ballady najnaiwniejszej maści, opiewające proletariackie braterstwo i mądrość Mussoliniego, sprzedawane były na każdym rogu w cenie kilku centymów. Często widywałem niepiśmiennych bojówkarzy kupujących takie ballady, z trudem literujących kolejne słowa,

po czym – gdy już udało się odcyfrować treść – zaczynających śpiewać je do odpowiedniej melodii.

Przez cały ten czas przebywałem w Koszarach Lenina, pozornie przygotowując się do wyruszenia na front. Po wstąpieniu do milicji usłyszałem, że zostanę wysłany na front zaraz następnego dnia, w rzeczywistości musiałem czekać na skompletowanie nowej centurii. Milicja robotnicza, w pośpiechu powołana przez związki zawodowe na samym początku wojny, nie była jeszcze zorganizowana na kształt armii. Dzielila się na następujące jednostki: „drużyny”, składające się z około trzydziestu mężczyzn, „centurie”, w skład których wchodziło stu bojowników, i „kolumny”, w praktyce oznaczające dowolną dużą liczbę ludzi. Na Koszary Lenina składał się kwartał okazałych, kamiennych budynków wraz z ujeżdżalnią i ogromnymi brukowanymi dziedzińcami. Były to koszary kawalerii zdobyte podczas lipcowych walk. Moja centuria nocowała w jednej ze stajni, pod kamiennymi żłobami, na których wciąż jeszcze widniały wyryte imiona kawalerskich wierzchowców. Wszystkie konie zostały przejęte i wysłane na front, całe miejsce wciąż jednak cuchnęło końskim moczem i gnijącym owsem. Spędziłem w koszarach około tygodnia. Zapamiętałem stamtąd końskie zapachy, niepewne sygnały odgrywane na trąbce przez trębaczy amatorów (hiszpańskich sygnałów dźwiękowych nauczyłem się, dopiero słuchając ich zza linii oddziałów faszystowskich), stukot podkutych butów na kamiennym dziedzińcu, długie poranne apele w zimowym słońcu oraz szalone mecze piłki nożnej, pięćdziesięciu na pięćdziesięciu, jakie rozgrywaliśmy w wysypanej żwirem ujeżdżalni.

W koszarach mieszkało około tysiąca mężczyzn i około dwudziestu kobiet, nie licząc żon członków milicji, które zajmowały się gotowaniem. W milicji także służyły kobiety, ale nie było ich wiele. W początkowych bitwach walczyły razem z mężczyznami, co uchodziło za rzecz zupełnie normalną. W czasie rewolucji coś takiego wydaje się być zupełnie naturalne. Poglądy już się jednak zmieniały. Członkowie milicji musieli trzymać się z dala od ujeżdżalni podczas zajęć kobiet, ponieważ naśmiewali się z nich, a przez to je zniechęcali. Kilka miesięcy wcześniej nikt nie widziałby niczego komicznego w kobiecie z bronią w ręku.

W koszarach panował brud i chaos. Milicja doprowadzała do takiego stanu każdy budynek, nad którym przejmowała kontrolę, i był to zdaje się skutek uboczny rewolucji. W każdym rogu wały się sterty zniszczonych mebli, połamane siodła, mosiężne kawaleryjskie hełmy, puste pochwy po szablach i rozkładająca się żywność. Marnotrawstwo jedzenia, w szczególności chleba, było zatrzważające. Z samego pomieszczenia, w którym mieszkałem, po każdym posiłku wyrzucano pełny kosz pieczywa – rzecz ohydna, gdy większość społeczeństwa cierpiała z głodu. Posiłki spożywaliśmy przy długich stołach, z wiecznie zatłuszczonych cynowych misek, napoje natomiast piliśmy z okropnego naczynia o nazwie *porron*. Porron to rodzaj szklanej butelki ze spiczastym dziubkiem, z którego cienki strumień wina tryska, ilekroć się je przechyli. Można zatem pić z niego na odległość, nie dotykając naczynia ustami, i można podawać je sobie z rąk do rąk. Zastrajkowałem i zażądałem zwykłego kubka, gdy

tylko zobaczyłem, jak używa się porronu. Na moje oko porron zanadto przypominał szpitalną „kaczkę”, zwłaszcza gdy wypełniono go białym winem.

Stopniowo wydawano rekrutom uniformy, ale ponieważ była to Hiszpania, to wszystko odbywało się partiami i nigdy nie było wiadomo do końca, co kto otrzymał, a rzeczy, których potrzebowaliśmy najbardziej, jak pasy czy ładownice, zostały nam przyznane w ostatniej chwili, gdy pociąg czekał już, by zabrać nas na front. Wspominam tu o milicyjnych uniformach, ale to może sprawić mylne wrażenie. Nie były to uniformy w zwykłym rozumieniu tego słowa, bardziej stosownym terminem byłoby słowo „multiform”. Każdy zestaw ubrań generalnie składał się z tych samych elementów, nigdy jednak nie były to zestawy identyczne. Praktycznie wszyscy w armii nosili sztruksowe bryczesy, ale na tym kończyła się jednolitość. Niektórzy nakładali owijacze, inni sztruksowe getry, jeszcze inni getry skórzane albo wysokie buty. Wszyscy mieli kurtki zapinane na zamek, z tym że niektóre były skórzane, inne wełniane, a w dodatku każda miała inny kolor. Nakrycia głowy były tak różnorokie jak ci, którzy je nosili. Przód czapki zwykle był ozdobiony odznaką partyjną, niemal wszyscy zawiązywali też wokół szyi czerwoną lub czerwono-czarną chustę. Kolumna milicji w tamtym okresie stanowiła niebywałą wręcz zbieraninę. Ubrania wydawane były, w miarę jak poszczególnym fabrykom udawało się coś wyprodukować, a biorąc pod uwagę okoliczności, trzeba przyznać, że nie były to złe ubrania. Koszule i skarpety uszyte były jednak z mądrej bawełny i w żadnym stopniu nie chroniły przed chło-

dem. Aż boję się myśleć, z jakimi niewygodami musieli mierzyć się bojówkarze we wcześniejszych miesiącach, nim udało się cokolwiek zorganizować. Przypominam sobie artykuł z gazety wydanej jakieś dwa miesiące wcześniej, w którym jeden z przywódców POUM (POUM: Partia Robotnicza Zjednoczenia Marksistowskiego) po wizycie na froncie obiecał, że postara się dopilnować, aby „każdy z bojowników miał na wyposażeniu koc”. U każdego, kto spędził choć jedną noc w okopach, takie zdanie ma prawo wywołać dreszcze.

Drugiego dnia mojego pobytu w koszarach rozpoczęło się coś, co można by żartobliwie nazwać „szkoleniem”. Rekrutami w większości byli chłopcy w wieku szesnastu czy siedemnastu lat, pochodzący z bocznych uliczek Barcelony, pełni rewolucyjnego zapału, zupełnie jednak nieświadomi tego, czym jest wojna. Niemożliwością było choćby ustawienie ich w równym szeregu. Dyscyplina nie istniała; jeżeli komuś nie spodobał się rozkaz, to występował z szyku i zaczynał wyklócać się z dowódcą. Prowadzący ćwiczenia porucznik był sympatycznym młodym człowiekiem o zacieklej, czerstwej twarzy, który wcześniej służył w armii zawodowej, i wciąż jeszcze trzymał fason, poruszając się sprężystym krokiem i zawsze nosząc nienagannie przyszykowany mundur. Co ciekawe, był przy tym szczerym i zagorzałym socjalistą. Bardziej nawet niż poddani mu żołnierze kładł nacisk na pełną społeczną równość wszystkich obywateli. Przypominam sobie przykrą niespodziankę, jaką sprawił mu jeden z niedouczonej rekrutów, zwracając się do niego per Señor.

– Co?! Señor? Kto ma czelność nazywać mnie Señor? Czyż nie jesteśmy wszyscy towarzyszami?

Nie wydaje mi się, żeby to ułatwiło mu pracę. Tymczasem nowi rekruci odbywali wojskowe szkolenie, które do niczego nie mogło im się przydać. Powiedziano mi, że obcokrajowcy nie są zobligowani do uczestnictwa w szkoleniach (Hiszpanie, jak zauważyłem, żywili nieuzasadnione przekonanie, że wszyscy obcokrajowcy wiedzieli o sprawach militarnych o wiele więcej niż oni sami), naturalnie jednak stawiałem się na nie razem z innymi. Zależało mi na tym, by nauczyć się obsługiwać karabin maszynowy, nigdy wcześniej nie miałem okazji mieć tej broni w rękę. Ku mojej rozpaczy odkryłem, że nie uczono nas niczego na temat obsługi broni. Tak zwane szkolenie było zwykłą musztrą, i to najgłupszego, starodawnego typu: w prawo zwrot, w lewo zwrot, obrót, maszerowanie trójkami na baczność i inne tego typu beużyteczne nonsensy, których uczyłem się, gdy miałem lat piętnaście. Była to doprawdy niezwykle forma ćwiczeń dla wojska partyzanckiego. Jeżeli na wyszkolenie żołnierza ma się ledwie kilka dni, to z oczywistych względów trzeba nauczyć go rzeczy najbardziej potrzebnych: jak się okopać, jak atakować w otwartym terenie, jak stać na warcie i jak zbudować wał ochronny – a przede wszystkim jak obsługiwać broń. Tymczasem gromada pełnych entuzjazmu dzieci, które za kilka dni miały być rzucone na front, nie dowiedziały się nawet, jak strzelać z karabinu ani jak wyciągnąć zawleczkę z granatu. W tamtym czasie nie przyszło mi nawet do głowy, że powodem tej sytuacji był fakt, iż broni generalnie brakowało. Brak karabinów

u bojówek POUM był tak dotkliwy, że nowe oddziały docierające na front przejmowały broń swoich poprzedników, których na froncie zmieniali. W Koszarach Lenina jedyne karabiny, jak sędzę, to były te, których używali wartownicy.

Po kilku dniach, choć według normalnych standardów wciąż jeszcze byliśmy kompletnie chaotyczną zbieraniną, uznano, że można nas pokazać publicznie. Każdego ranka maszerowaliśmy do publicznych ogrodów na wzgórzu za Plaza de Espana. Było to wspólne miejsce musztry dla milicji wszystkich partii, a także dla Carabineros i pierwszych kontyngentów nowo utworzonej Armii Republikańskiej. W ogrodach odbywało się dziwne i poruszające widowisko. Każdą ścieżką i każdą alejką pośród symetrycznych klombów maszerowały tam i z powrotem oddziały i kompanie z wyprężonymi piersiami, starające się z całych sił wyglądać jak prawdziwe wojsko. Nikt nie niósł broni, nikt nie posiadał kompletnego munduru, na wielu z nich uniformy pękały tu i ówdzie w szwach. Scenariusz był zawsze ten sam. Przez trzy godziny dreptaliśmy tam i z powrotem (hiszpański krok marszowy jest bardzo krótki i gwałtowny), po czym zatrzymywaliśmy się, lamaliśmy szeregi i gromadziliśmy się spragnioną gromadą wokół małego sklepu spożywczego w połowie wzgórza, który na tanim winie robił znakomity interes. Wszyscy zachowywali się wobec mnie bardzo przyjaźnie. Jako Anglik stanowiłem coś w rodzaju ciekawostki, oficerzy karabinierów przywiązywali do tego wielką wagę i stawiali mi kolejki. W międzyczasie ilekroć udało mi się porozmawiać z naszym porucznikiem na

osobności, nagabywałem go o możliwość ćwiczeń z obsługi karabinu maszynowego. Dobywałem z kieszeni słowniczek Huga i nacierałem na niego, mówiąc moim łamanym hiszpańskim:

– Yo sé manejar fusil. No sé manejar ametralladora. Quiero aprender ametralladora. Quando vamos aprender ametralladora?

W odpowiedzi porucznik uśmiechał się nerwowo i obiecywał, że szkolenie z karabinów maszynowych odbędzie się mañana. Nie muszę dodawać, że mañana nigdy nie nadeszło. Minęło kilka dni i rekruci potrafili już całkiem sprawnie maszerować na baczność, jeśli jednak chodzi o karabiny, to wiedzieli co najwyżej, z której strony lufy wylatuje pocisk. Któregoś dnia uzbrojony karabiniar podszedł do nas, gdy mieliśmy przerwę, i pozwolił nam obejrzeć swoją broń. Okazało się, że w moim oddziale nikt oprócz mnie nie potrafił naładować broni, nie wspominając już o celowaniu.

Przez cały ten czas zmagalem się z językiem hiszpańskim. Oprócz mnie w koszarach był jeszcze tylko jeden Anglik, a nawet pośród oficerów nikt nie mówił po francusku. Nie pomagało też to, że moi kompani najczęściej rozmawiali ze sobą po katalońsku. Radziłem sobie w ten sposób, że wszędzie nosiłem ze sobą mój mały słownik hiszpański i sięgałem po niego w chwilach kryzysu. Wolałbym jednak być obcokrajowcem w Hiszpanii niż gdziekolwiek indziej. Jakże łatwo było tam o przyjaźnie! Po dwóch dniach co najmniej dwudziestu milicjantów mówiło do mnie po imieniu, pokazywało miejscowe zwyczaje i wprawiało w zakłopotanie okazywaną mi gościnn-



nością. Ta książka nie ma być książką propagandową, nie chcę więc idealizować bojowników z POUM. Cały milicyjny system ma poważne wady, a jego uczestnicy byli doprawdy najróżniejszego pokroju, ponieważ w tamtym czasie coraz mniej ochotników zgłaszało się do służby, a najlepsi ludzie albo byli na froncie, albo już nie żyli. Zawsze znajdował się wśród nas pewien odsetek osób nieprzydatnych. Rodzice przyprowadzali piętnastoletnich chłopców, zupełnie otwarcie przyznając, że skusił ich żołd w wysokości dziesięciu peset dziennie, a także dostępność chleba, którego pewne ilości rekruci szmuglowali do domów. Twierdzą jednak, że każdy, kto jak ja znalazł się niespodziewanie pośród hiszpańskiej klasy robotniczej – choć może powinienem napisać „katalońskiej klasy robotniczej”, jako że oprócz kilku Aragończyków i Andaluzyjczyków byli tam sami Katalończycy – musiał docenić jej wrodzoną przyzwoitość, a jeszcze bardziej prostolinijność i szczodrość. Szczodrość Hiszpanów bywa czasami wręcz krępująca. Prosisz o papierosa, a zmuszają cię do przyjęcia całej paczki. Ale mają też w sobie szczodrość innego rodzaju, istną wielkoduszność, z którą spotykałem się raz za razem w najmniej obiecujących okolicznościach. Niektórzy dziennikarze i obcokrajowcy podróżujący do Hiszpanii w czasie wojny utrzymywali, iż potajemnie Hiszpanie są gorzko zazdrośni o zagraniczną pomoc. Sam mogę tylko powiedzieć, że ja niczego takiego nie zauważyłem. Pamiętam, że na kilka dni przed tym, jak opuściłem koszary, grupa mężczyzn przybyła z frontu na kilka dni wolnego. Z entuzjazmem opowiadali o swoich doświadczeniach i o oddziałach francuskich, stacjonujących nie-

daleko od nich w Huesca. Mówili, że Francuzi byli bardzo odważni, i dodawali z ekscytacją: „Más valientes que nosotros” – „odważniejsi od nas!”. Zaprotekowałem oczywiście, na co wyjaśnili mi, że Francuzi znacznie lepiej znali arkana sztuki wojennej, byli bardziej obeznani z granatami, karabinami maszynowymi i tak dalej. Jednak sama ich uwaga była znacząca. Anglik prędzej dalby sobie odciąć obie dłonie, niżby powiedział coś podobnego.

Każdy przybysz zza granicy, który podejmował się służby w milicji, przez pierwszych kilka tygodni uczył się kochać Hiszpanów i okiełznywać irytację, jaką wywołują niektóre cechy ich charakterów. Hiszpanie są dobrzy w wielu sprawach, ale niekoniecznie w prowadzeniu wojen. Wszystkim cudzoziemcom rzuca się w oczy ich nieskuteczność, a przede wszystkim doprowadzająca do szału niepunktualność. Słowo, którego przyswojenia nie można zaniedbać, to mañana – „jutro” (dosłownie: „rano”). Zawsze gdy tylko to możliwe, sprawy są przekładane z dzisiaj na mañana. Jest to tak częste, że aż sami Hiszpanie żartują na ten temat. W Hiszpanii nic nie dzieje się o wyznaczonej porze, ani posiłek, ani bitwa. Zasadniczo wszystko odbywa się z opóźnieniem, ale od czasu do czasu – tak żebyś się nie przyzwyczaił zanedo do opóźnień – rzeczy dzieją się za wcześnie. Pociąg, który ma odjechać o ósmej, odjedzie o dowolnej godzinie pomiędzy dziewiątą a dziesiątą, ale raz w tygodniu, dzięki osobistemu urokowi maszynisty, odjedzie o wpół do ósmej. Bywa to uciążliwe. W teorii, uwielbiam Hiszpanów za to, że nie dzielają naszej północnej nerwicy na punkcie czasu; niestety jednak ja sam także ją dzielam.

Po serii pogłosek, mañan i opóźnieñ nagle otrzymaliśmy rozkaz wyruszenia na front w przeciągu dwóch godzin. Większość naszego wyposażenia wciąż jeszcze nie została nam wydana. W magazynie kwatermistrza zapanował okropny harmider, w efekcie tego wszystkiego wielu żołnierzy wyruszyło w drogę z niepełnym wyposażeniem. Koszary szybko wypełniły się kobietami, które zjawily się nie wiadomo skąd, by pomóc swoim bliskim i znajomym związać koce oraz pakować plecaki. Było dla mnie nieco upokarzające, że hiszpańska dziewczyna, żona Williama, drugiego Anglika w koszarach, musiała pokazać mi, jak założyć moją nową skórzaną ładownicę. Była to kobieta łagodna, ciemnooka i bardzo kobieca, która sprawiała wrażenie, jakby jej życiowym przeznaczeniem było kołysanie kołyski, ale która w rzeczywistości odważnie walczyła podczas lipcowych walk ulicznych. Nosila już wówczas na rękę dziecko, które przyszło na świat zaledwie dziesięć miesięcy po wybuchu wojny i które być może zostało splodzone na tyłach barykady.

Pociąg miał odjechać o ósmej, tymczasem dopiero dziesięć minut po planowej godzinie odjazdu udało się ustawić nas w szyku na koszarowym dziedzińcu. Mam wciąż przed oczami scenę z pochodniami – zgielk i podniecenie, czerwone flagi łopoczące w blasku pochodni, szeregi milicjantów stłoczonych z tornistrami na plecach i ze zrolowanymi kocami, przerzuconymi przez ramiona jak bandolierzy. Krzyki, stukot butów i cynowych misek, aż wreszcie zatrważający syk zmuszający wszystkich do zamilknięcia. Komisarz polityczny stojący pod wielkim

falującym czerwonym sztandarem i przemawiający do nas po katalońsku. W końcu ruszyliśmy w stronę dworca kolejowego. Szliśmy najdłuższą, może nawet czteromilową, trasą, tak by całe miasto mogło nas oglądać. Na Ramblas kazano nam się zatrzymać, by wysłuchać kilku rewolucyjnych melodii, wygrywanych przez wynajętą orkiestrę. I jeszcze jedna scena jak z opowieści o herosach: krzyki i entuzjazm, wszechobecne czerwone i czarno-czerwone flagi, przyjazne tłumy klębiące się na chodniku, by na nas spojrzeć, kobiety machające do nas w okien. Jakże to wszystko wydawało się wówczas naturalne; jak odległe i nieprawdopodobne jest teraz! Pociąg zapakowany był ludźmi tak szczelnie, że nawet na podłodze nie było miejsca, nie mówiąc już o miejscach siedzących. W ostatniej chwili żona Williamsa podbiegła do nas na peronie i wręczyła nam butelkę wina i kawał owej jasnoczerwonej kielbasy, która smakuje mydłem i wywołuje biegunkę. Pociąg wywłókl się z Katalonii na równiny Aragonii w zwykłym wojennym tempie poniżej dwudziestu kilometrów na godzinę.

## ROZDZIAŁ 2

Barbastro, choć daleko od linii frontu, sprawiało wrażenie miasta niegościnnego i zniszczonego. Grupki obdartych bojowników włóczyły się po ulicach, próbując się rozgrać. Na rozpadającym się murze dostrzegłem afisz datowany na rok poprzedni, informujący, że „sześć do-